

W rezerwacie średnioświeczi

Statystyki mówią: w polskich zakonach spędza pokutnicze życie około dziesięć tysięcy mężczyzn oraz ponad trzydzieści tysięcy kobiet. Co roku wstępuje ich w klasztorne progi średnio osiemset.

Statystyki nie opowiadają o tym, ile tragedii, cichych wyrzeczeń, brutalnego łamania godności ludzkiej, ile podłostek, pospolitego draństwa i dramatycznych pomyłek kryją te czcigodne mury.

Milczy o tym kler na ambonie, milczy katolicka prasa, milczą ci, którzy zdruzgotani, sponiewierani opuszczają klasztorne cele, uciekając wstydliwie w świat ludzi świeckich. Rozgoryczeni na własną naiwność młodych lat. Z pretensjami do starszych: Czemu nas nie ostrzeżliście?

Zróbmy wyjątek. Zajrzyjmy za kurtynę milczenia. Publikujemy dziś, autentyczne zwierzenia siostry zakonnej, która trzynaście lat spędziła w mniszej celi, by w końcu powiedzieć sobie: straciłam tu daremnie młodość i jej najpiękniejsze lata... Zwierzenia te, opracowane przez Romana Sądeckiego, publikujemy za „GŁOSEM KOSZALIŃSKIM”.

Nocną porą, na stacji kolejowej małego miasteczka podeszła do milicjanta młoda zakonnica. Na jej twarzy widać było nerwowe wyczerpanie, ślady łez. Nie to jednak tak bardzo zdumiało dzielnicowego, nie nerwowe gesty, znamionujące stan psychicznego wzburzenia ani strój zakonny w nieładzie. Przyczyną zdziwienia były słowa siostry zakonnej, słowa wykrzykiwane jednym tchem:

- Panie milicjancie, niech mnie pan zastrzeli! Co panu to szkodzi! Pan jest komunistą, nie wierzy pan w Boga, więc co panu to szkodzi. Nikt nie będzie widział, niech pan to zrobi! Ja nie mam odwagi, nie mam odwagi...

- Niechże się siostra uspokoi! O co tu chodzi? Proszę mówić spokojniej.

- Nie mam odwagi, panie milicjancie! Chciałam się rzucić pod pociąg, ale nie mam odwagi...

Histeria? Tak. Przez trzynaście lat pobytu w klasztornych murach narastała ona powoli, przechodziła różne ewolucje, od ślepej, zwierzęcej pokory, do buntu i rozpacz. Noce ciężkie od niepokoju, dni pełne wątpliwości, tygodnie, miesiące, lata spędzone na klęczkach, z głęboką wiarą i uporem: chcę zostać świętą!

Milicjant, chociaż niewierzący, miał inny pogląd na tę sprawę niż zakonnica.

ROZDZIAŁ I

O zakonnym powołaniu, gniewnej ciotce, atomowej bombie, żółtym kapelusiku i nieskromnych spojrzeńach chłopców

Komuniści – mówiono mi od wczesnych lat młodości – zabijają wiarę w Boga, depczą godność ludzką, pozbawiają własności prywatnej, zakładają kołchozy i głoszą konieczność krwawych rewolucji, wzajemnego zarzynania się ludzi w imię jakichś tam ideałów. Nienawidziłam więc bardzo komunistów. Miałam wtedy piętnaście lat i strasznie mądrą receptę naprawy tego świata. Wszystko w tym wieku jest proste i oczywiste. Że też starsi nie mogą zrozumieć!...

Kiedy przyszła pierwsza myśl: pójdę do klasztoru? Pamiętam ten dzień. Siedziałam w szkolnej ławie, poplamionej czarnym atramentem. To było w Sudetach. Za oknem rozciągał się wysoki grzebień gór, pokryty zieloną malowanką lasów. Nasz wychowawca, starszy człowiek, legionista, opowiadał nam z przejęciem, że na koreańskiej ziemi leje się krew i wkrótce świat na połowę rozłupią atomową bombą. Ludzie stopią się niczym skwarki, a wody w oceanach wyschną. Do tego wnet dojdzie.

Po powrocie do domu zapytałam swoją ciotkę, czy to prawda, że kulę ziemską można rozłupać atomową bombą.

Krewna długo się zastanawiała. Zawsze się tak zastanawiała, gdy miała coś ważnego powiedzieć. W końcu odrzekła, że taka możliwość istnieje, bo Pan Bóg rozgniewał się na ludzkość za tyle nieprawości i zła, które szerzy się z winy niedowiarków. Już królowa Saba, największa prorokini wszechczasów, przepowiedziała wyniszczenie ludzkiego plemienia.

Wtedy przyszła refleksja; po co w takim razie się uczyć, zabiegać o przyszłość, doraźne cele, skoro i tak za te kilka marnych lat albo wcześniej, wszystko obróci się w spalone wiórka. Za radą ciotki postanowiłam stale żyć w stanie łaski uświęcającej, aby w wypadku nagłej śmierci mieć zagwarantowany wieczny pobyt w niebie. Najlepiej do tego celu nadawał się klasztor.

Czy tylko ta myśl zawiodła mnie w klasztorne progi? Wielbiłam życie ciche, pustelnicze, monotonne. To znów gorąco pragnęłam, aby stać się szaleńczo odważną, nieugiętą obrończynią wiary świętej. O, gdybym mogła zostać drugą Joanną d'Arc!

Pięknie byłoby zginąć jak Joanna d'Arc i zostać ogłoszoną świętą. Z drugiej jednak strony śmierć w płomieniach jest mało pociągająca.

Ilekróć spotykałam na ulicy siostry zakonne, serce zaczynało mi bić żywiej. Narastało we mnie przekonanie, że tylko pośród nich mogę stać się szczęśliwą. Podobnie myślało pięć moich koleżanek. Coraz rzadziej plotkowałyśmy o chłopakach, coraz częściej pojawiał się w naszych pogwarkach temat świętego życia. Ulubioną naszą lekturą były żywoty świętych. Ileż to radości nam sprawiło, gdy pewnego niedzielnego przedpołudnia, po sumie, podeszła do nas siostra z pobliskiego klasztoru i wciągnęła w rozmowę. Obiecała nam pokazać, jak się tam żyje, pracuje. Skorzystałyśmy z zaprosin i potem byłyśmy jeszcze bardziej niż dotąd zachwycone taką piękną drogą życia.

Gdy skończyłyśmy szkołę podstawową, cała nasza piątka przerwała dalszą naukę, ponieważ – jak nas przekonywano – w gimnazjum uczą marksizmu i możemy stracić wiarę. Jeśli koniecznie chcecie się uczyć, zapiszcie się do przyklasztornej szkoły! – poradziła znajoma zakonnica.

Jedna z nas – Ela – dowiedziała się, że w Chojnicach, w województwie bydgoskim, jest klasztor, który prowadzi szkołę mariańską: uczą tam gospodarstwa domowego, pieczenia i gotowania, koronkarstwa, krawiectwa, pracy w ogrodzie. To mi odpowiadało. Miałam rodziców i krewnych w Bydgoskiem.

- Z tym powołaniem różnie bywa! – doradzali znajomi. - Gdyby któraś w trakcie okresu szkolnego zmieniła zamiar poświęcenia się Bogu, to będzie miała przynajmniej tę korzyść, że posiada gospodarские umiejętności.

Nauka w szkole była jednoroczna i przez klasztor traktowana jako juwenat – przygotowanie młodych dziewcząt do służby Najwyższemu.

Mama wydawała się być dumną ze mnie, kiedy jej objawiłam swą ostateczną decyzję. Ojciec jednak trochę się sprzeciwiał: Dziewczyno, opamiętaj że się! Przecież to więzienie! Na całe życie!

W końcu jednak uległ i pojechał do Chojnic, aby omówić warunki przyjęcia do pensjonatu. A były one następujące: co miesiąc dostarczyć do kuchni trzy kilogramy tłuszczu, przywieźć jednocześnie cztery kwintale kartofli oraz zapłacić kwotę pięć tysięcy złotych – w comiesięcznych ratach. Dostojne przełożone zwróciły przy tym uwagę, że im więcej dostarczać będzie prowiantu, tym miłsza niebiosom stanie się juwenatka.

Przyjechałyśmy tu niemal wszystkie w kapelusikach, bo wtedy taka panowała moda wśród dziewcząt. Miałyśmy kolorowe sukienki. Siostra Karola, po serdecznym przywitaniu, bardzo nas zawstydziała:

- Jakże to, dziewczynki? W pensjonacie trzeba się ubierać skromnie, a nie tak pstro, jak te papużki. Zdejmijcie te kapelusiki, bo nasza opiekunka – Matka Boska – pomyśli o was coś nieładnego.

Przyszła też siostra Ignacja, aby nas zobaczyć. Odpowiadałyśmy skromnie na pytania: czy rodzice są religijni, czy ktoś z krewnych nie należy do partii, milicji, innych świeckich organizacji? Czy należałyśmy do ZMP lub harcerstwa? Dlaczego chcemy wstąpić do klasztoru? Czy całowałyśmy się już z chłopakami? Czy nasi rodzice są bogaci?

Przyzwyczyłyśmy się wkrótce, do życia w klasztornym pensjonacie.

Dni były podobne do siebie, niczym paciorki różańca. O świcie dzwonek podrywał z łóżek, akurat wtedy, gdy najlepiej się spało. Długie poranne modlitwy, śniadanie, zajęcia szkolne, czytanie ksiąg świętych, modlitwy przed obiadem i po obiedzie, znowu lekcje lub inne zajęcia. Pół godziny rekreacji w refektarzu, gdzie można swobodnie ze sobą pogawędzić. Dzwonek na wie-

czarne modlitwy: różaniec, drogi krzyżowe, rachunek sumienia, akt skruchy, silentium - cisza nocna. I znów nad ranem ostry dźwięk dzwonka...

Regulamin był surowy. Listy podlegały klasztornej cenzurze. Czasem prowadziło się nas na spacer. Szło się w kolumnie dwójkowej. Na przedzie kroczyła najczęściej siostra Gabriela, aiergardę stanowiła siostra Ignacja. Gdy kolumna marszowa była zbyt długa, wówczas brało się do pomocy trzecią siostrę, której obowiązkiem było iść w środku kolumny. Nie było wolno nam rozmawiać. Jeśli w pobliżu przechodzili chłopcy, siostra Gabriela dawała znać dzwoneczkiem, że mamy natychmiast spuścić oczy ku ziemi. Chłopcy bowiem zazwyczaj mieli grzeszne spojrzenia i lubili dowcipkować. W zbyt trudnych sytuacjach padał rozkaz rozpoczęcia pobożnego śpiewu, by zagłuszyć żarty bezbożnych swawolników.

Obawy naszych opiekunek wydawały mi się słuszne. Z powodu chłopców, w naszej mariańskiej szkole, liczącej około 90 dziewczynek, powstały kolosalne spustoszenia. Zwłaszcza kontakty listowe przez poste-restante, nie objęte klasztorną cenzurą, stanowiły znaczne niebezpieczeństwo. Dziewczęta jedna po drugiej zrezygnowały ze swego powołania i uciekały do świeckiego świata, do swoich chłopców.

Pod koniec roku z naszych szeregów zostało zaledwie kilkanaście kandydatek do drugiego kręgu klasztornego wtajemniczenia.

ROZDZIAŁ II

Opowieść o radościach powitania, pokorze segregacji i modlitwach krzyżowych

Do Orlika przyjechałyśmy w dzień świętego Ignacego. Tutejszy klasztor, nowo wybudowany po wojnie, kaplica, zabudowania gospodarcze, ogród, zrobiły na mnie dodatnie wrażenie.

Było nas dwanaście postulantek. Przyjechałyśmy razem z siostrą Ignacją, która obchodziła właśnie uroczystość imienin. Nasz wóz konny, ogumowany, ustrojony zielenią, wjechał w podwoje klasztoru. Wysypałyśmy się z niego z radosnym świergotem niczym stadko kuropatw. Przełożona prowincjonalna, najwyższa zwierzchność klasztoru, przywitała nas na progu łaciną.

Klasztor w Orliku - Zgromadzenie SS Franciszkanek od Pokuty i Miłości Chrześcijańskiej, założony został przez Niemki. Jego regulamin jest nieco inny niż w pozostałych zgromadzeniach. Nawiązuje on do tradycji siedmiu wieków, do tych początków, kiedy to Franciszek z Asyżu, zakładając pierwszy zakon swe reguły, starał się przeciwstawić uciechom świata poprzez ćwiczenie w pokorze i ubóstwie, pracy i miłości bliźniego. Te właśnie cnoty miałam zamiar pielęgnować szczególnie. Bardzo mi się podobały.

Siostry zakonne stały długim szeregiem pod ścianą, jedna obok drugiej. My – po przeciwnej stronie. Przełożona prowincjonalna matka Rafaela z pochodzenia Niemka, łamaną polszczyzną podkreśliła rangę klasztornego życia. Służba Bogu w zakonie jest najważniejszym zaszczytem, jaki można sobie wyobrazić. Łatwiejsza droga do zbawienia. Habit upiększa i odmładza. Zmarszczone czoło jest zakryte. Siwizny nie widać. Zakonnice zawsze wyglądają młodo, bo ta młodość jest wewnątrz nas i będzie aż do śmierci, amen.

Ceremoniał powitania, wzruszenie, łyż. Podano do stołu placek i kawę.

Pierwsze nowinki, pouczenia. Posiłki jada się wspólnie w refektarzu, gdzie na głównej ścianie widnieje ogromny krzyż z Chrystusem i kilka obrazów z męką pańską. Długie stoły i źle heblowane krzesła uzupełniają umeblowanie tej sali. Do refektarza przychodzi się w skromnej postawie, na pierwszy sygnał dzwonka. Siostry, które się spóźniają, w myśl regulaminu, powinny упаść na kolana i z rozkrzyżowanymi ramionami odmówić głośno „De profundis”.

Nie wolno jeść ani pić poza refektarzem. Jedzenia nie należy traktować jako przyjemność, lecz jako smutny obowiązek wobec zmęczonego ciała, pozbawionego sił.

Siadało się według starszeństwa i zajmowanych stanowisk. Nie wolno się w tym pomylić, bo dla ćwiczenia pokory każą usiąść na ziemi i posilać się w tej niewygodnej pozycji.

Najpierw więc zajmowała honorowe miejsce przy stole matka prowincjonalna, potem – matka lokalna oraz inne matki przełożone, dalej – jej asystentki, mistrzyni postulantek i nowicjuszek, siostry profeski – w zależności od wykonywanych zajęć, siostry zajmujące się czarną robotą w polu i oborze, na końcu – my, postulanki. Dzbany, miski, garnuszki, były gliniane. Chleb

układało się na prostych deseczkach. Do wszelkich potraw obowiązywała jedynie łyżka; widelec i nóż – to dogadzanie żołądkowi, który jest grzeszny w swych zachciankach. Nie wolno było rozmawiać, jeśli nie wymagała tego bardzo pilna potrzeba.

Mieszkanki klasztoru, które w danym dniu zgrzeszyły przeciw cnocie posłuszeństwa, wykazały brak delikatności, szacunku wobec przełożonych lub starszych wiekiem, w myśl regulaminu, muszą podczas wspólnych posiłków brać nie ze stołu, a z podłogi chleb i wodę – przez dwa dni. Bardziej urozmaiconych potraw w dniu kary – regulamin nie przewidywał.

Śpiewy i modlitwy – w języku łacińskim, często – niemieckim, nader rzadko w polskim. Polska mowa jest tu niemile widziana, traktowało się ją jako prymitywny acz niezbędny środek porozumienia się z siostrami i postulankami, stojącymi na najniższym szczeblu tej swoistej drabiny hierarchicznej.

W pierwszy dzień pobytu w Orliku podano na obiad smażone kartofle i mleczną zupę, tudzież chleb. Po posiłku odśpiewaliśmy psalmy dziękczynne. Siostry profeski – te po ślubach wieczystych – poszły odprawiać brewiarz, a my – postulanki – strugać kartofle na dzień jutrzejszy. Po trzech godzinach dzwonek znów nas zgromadził w refektarzu, gdzie klęcząc otrzymywaliśmy błogosławieństwo przełożonej Rafaeli i udałyśmy się na modlitwy wieczorne do kaplicy. Modlitwy trwały długo i wydały mi się wyczerpujące. Tym lepiej smakowała kolacja. I znów modlitwy dziękczynne.

Rozdzieliłyśmy się potem na dwie grupy. Podczas tych modlitw zwanych dyscypliną obowiązywały pewne czynności o charakterze pokutniczym. Każda z sióstr ma przy sobie rzemień, a raczej wiązkę rzemieni z węzełkami. Odwija się rękaw i w zależności od tego, jak wielka jest miłość do Boga, profeski, mocno lub mniej mocno, bije się tym w rękę, odmawiając słowa przepisane regulaminem.

Postulanki, jako element niedojrzały, nie dopuszcza się do tego rodzaju praktyk. Nas obowiązywały modlitwy krzyżowe w kaplicy. Klęczy się na zimnej podłodze mając rozkrzyżowane ręce celem większego umartwienia. Odmawia się sześć razy ojcie nasz, sześć zdrowasiek i sześć chwała ojcu. Potem – dla zachowania cnoty czystości – dodatkowo trzy zdrowaśki. W razie większych pokus cielesnych, należy zwiększyć ilość zdrowasiek. No i marsz – do celi: spać! Silentium!

Opiszę teraz klasztorną celę. Zgodnie z franciszkańskim ubóstwem, jest ona urządzona w sposób nadzwyczaj oszczędny i skromny. Żelazne łóżko z pościelą, umywalka, krzesło, szafa, krzyż, dwa obrazy, w tym jeden z aniołem stróżem, miska do mycia, odzież do codziennego użytku. Resztę odzieży, tej lepszej, przechowuje się w przeznaczonym specjalnie miejscu w innej części klasztoru. Zabronione jest przechowywanie w celi pieniędzy, żywności, książek, atramentu, artykułów piśmiennych, zabawek.

Już na drugi dzień miałyśmy okazję się przekonać, że modlitwy nie będą naszą główną działalnością w tym klasztorze. Od świtu rwałyśmy len na polu. Gwoli zyskania na czasie, zostałyśmy zwolnione z 3-godzinnych paciorków.

- Moje drogie – pouczyła nas mistrzyni postulantek – najpiękniejszą modlitwą jest właśnie praca. Ona człowieka uszlachetnia, podnosi na wyżyny doskonałości. A gdy do tej najpiękniejszej z modlitw dołączymy myśli o rzeczach wiecznych, szczęściu w niebie, to taka postawa zasługuje na zapłatę po śmierci.

Rwałyśmy więc len w pocie czoła i przekonywałyśmy się nawzajem, że taki właśnie punkt widzenia jest bodaj najsłuszniejszy.

Jak się potem okazało, ta najpiękniejsza z modlitw była głównym obowiązkiem postulantek i niektórych profesek. Aby ten piękny rodzaj modlitwy był z całą powagą traktowany; do klasztoru przyjmowało się jedynie dziewczęta młode i zdrowe. Wyjątki w tej regule zdarzały się rzadko.

ROZDZIAŁ III

O kopaniu gliny, pogardzie życia i klasztornej sprawiedliwości

Przy klasztorze w Orliku było sto hektarów ziemi, którą trzeba było uprawiać. Jakże odpowiedzialne zajęcie w ogrodzie, sady, w hodowli, pralni! Robiło się od świtu do nocy. Z tamtego wczesnego okresu najwięcej utkwiła mi w pamięci robota w ogrodzie. Ziemia tu była nie najlep-

sza, piaszczysta. Aby poprawić jej strukturę, woziliśmy koniem glinę z odległej gliniarki i rozsypanyśmy ją mieszając z tymi piachami w ogrodzie. Nielekka praca. Dzień rozpoczynał się przed piątą, spać kładło się po godzinie 22.

Pewnego dnia omal nie doszło do katastrofy. Kopałyśmy glinę w głębokim dole. W pewnym momencie ziemia się z góry obsunęła, zasypując mnie, siostrę Leonardę, Zytę i kilka innych. Mimo ogólnych potłuczeń, trzeba było pracować dalej. Wieczorem poskarżyłyśmy się przełożonej. Nastąpiło żenujące milczenie. Po długiej chwili usłyszałam odpowiedź. Głos przełożonej był spokojny, opanowany.

- Dziecko drogie, co ty wygadujesz! Przecież to najwyższe szczęście, gdy ktoś zostanie wcześniej odwołany z tej służby ziemskiej na drugi świat!

Bardzo się wtedy zawstydziałam. Bo przecież zgrzeszyłam naiwną niekonsekwencją. Jeśli tak gorąco pragnęłam w głębi serca zostać kiedyś świętą, oddać życie za wiarę, to jakże mogłam wnosić podobną skargę?

Niektóre postulanki i nowicjuszki, głównie te z bogatszych rodzin lub legitymujące się niemieckim pochodzeniem, bywały zwalniane od pracy fizycznej, brudnej. Takim przywilejem wyróżniano też osoby, które przeznaczono do studiowania teologicznych mądrości: miały zostać uczonymi w sprawach wiary, zajmować się pracą umysłową. Przełożone szukały wtedy jakiegoś pretekstu, by ominąć klasztorny regulamin zobowiązujący do pracy. Kiedyś matka przełożona prowincjonalna Rafaela poleciła siostrze Klarycie i Beatryczy udać się na strych zabijać muchy. Rafaela urządziła tam bowiem coś w rodzaju pracowni malarskiej. Takie miała hobby – malowanie świętych męczenników, poddawanych przemysłnym torturom. Beatrycze i Klaryta miały więc w tym dniu odpędzać muchy, siadające na świeżej farbie.

Nie bardzo się to podobało siostrze-robotnicom. Tym bardziej, że owe wypieszczone i wyznaczone do wyższych celów siostrzyczki miały przykazane, aby zanadto nie przyjaźnić się ani spoufalać z nami – pracownicami folwarcznymi.

Zgromadzenie zakonne Franciszkanek przybyło do Polski z Niemiec. Inicjatorkami i założycielkami prowincjatu w Orliku były oczywiście Niemki. One więc miały największe przywileje. Przychylnie patrzyło się również na siostry, które aczkolwiek urodziły się Polkami, chętnie jednak rozmawiały po niemiecku, wychwalały niemiecką kulturę i wysoki poziom cywilizacyjny Niemiec. O ojczystym kraju należało się wyrażać pogardliwie. To było traktowane przez niemieckie przełożone jako oznaka dojrzewania, wyróżnik właściwej postawy światłej zakonnicy.

Ja z góry byłam przeznaczona do czarnej roboty na wielkim gospodarstwie. Niezależnie od tego, czy padał deszcz, paliło słońce, sypał śnieg, doskwierał mróz, zawsze pracowałam przy gospodarstwie.

- Życie jest takie krótkie – powtarzała nam przy każdej okazji przełożona Rafaela. - Nie ma co żałować tego żywota na ziemi, dlatego chętnie wyniszczajcie się na większą chwałę Boga.

Zdarzyło się, że kiedyś ogromnie przemęczona wpałam w zdenerwowanie słysząc takie słowa. Powiedziałam wtedy:

- Droga matko, jeśli te słowa są wartościowe, a są nimi na pewno, to czemu my musimy harować, smagane deszczem i zimnym wiatrem, zaś inne siostry w tym czasie przebywają w ciepłym pokoju i kontrolują nas przez okno? Pracujmy wszystkie razem, bo wszystkie jesteśmy równe wobec Boga.

Otrzymałam natychmiastowe polecenie, aby się wypowiadać z grzechu nieposłuszeństwa i pychy.

Gdy po raz pierwszy odwiedził mnie w Orliku ojciec, musiałam na nim zrobić ujemne wrażenie. Przyszłam na to spotkanie prosto od łopaty. Twarz miałam pomazaną błotem. Mokra od potu i deszczu. Wydało mi się wtedy na chwilę, że zobaczyłam w jego oczach łzy.

- Słuchaj moja droga! – powiedział mi odwracając się do okna. - Ogromnie zmizerniałś na buzi. Jeśli ci tu źle wracaj natychmiast do domu! Ludzie w pociągu mi opowiadali, że was, młode, pędzi się do najuciążliwszej roboty, często o głodzie i chłodzie.

Skłamałam ojcu. Powiedziałam, że jestem ogromnie szczęśliwa; pracą i wyrzeczeniem mogę zasłużyć sobie na prawdziwe szczęście w niebie.

Zresztą, czy to było duże kłamstwo? Wtedy, zdaje się, mimo różnych przykrości, podobnie rozumowałam a nawet wmawiałam sobie, że faktycznie jestem szczęśliwa. Było więc w tych moich słowach trochę prawdy, lecz chyba nie za dużo.

Dokuczało nam nieodpowiednie pożywienie. Było mało urozmaicone. Na skutek tego dość szybko opadałyśmy z sił. Chleb, zupa mleczna, smażone ziemniaki, kluski, kasza, oto niemal codzienne posiłki. Jadając skromnie, pielęgnujemy w sobie cnotę wstrzemięźliwości – mówiły nam przełożone. - Nie smakuje zupka? Dobra okazja aby nie grymasząc uczyć tym samym naszego patrona i ojca zakonu – świętego Franciszka z Asyżu. Narzekacie, że wciąż jest szpinak? A czy pierwsi chrześcijanie nie mieli większych umartwień?

Były to mocne argumenty. Może by one nas przekonały, gdyby nie to, że nasze przełożone i ich pupilki urządzały sobie dodatkowe posiłki w swoich celach, co oczywiście było wbrew klasztornemu regulaminowi.

Najwięcej nieporozumień było właśnie na tle żywienia. Bo właściwie w klasztorze prowadziło się dwie kuchnie. Jedna kuchnia dostarczała wszystko świeże, smacznie przyrządzone, z bogatszym zestawem wiktuałów. Ta kuchnia, niezbyt nawet dobrze zakonspirowana, była na piętrze i pracowała wyłącznie dla sióstr przełożonych, ich pupilek, gości. Tu chleb musiał być zawsze świeży, mięso dobrze wypieczone, jarzyny odpowiednio przygotowane. Kuchnia dla nas – klasztornej proletariatu – znajdowała się w części parterowej budynku i pod każdym względem była gorsza. Tutaj właśnie aż nazbyt rygorystycznie przestrzegano się zakazów surowego regulaminu zakonu.

Dziewięć lat pracowałam w ogrodzie i w sadzie. Nieraz bywałam, podobnie jak inne siostry robotnice, potwornie głodna. Nigdy jednak, przestrzegając zakonnej reguły, nie zjadłam ani jednej śliwki czy jabłka, pomidora, truskawki czy ogórka poza wspólnymi posiłkami w refektarzu. Wierzyłam bowiem szczerze, że taką zachłannością obrażę Boga. Jakże wtedy byłam naiwna!

W Orliku dużym szacunkiem otaczało się te nowicjuszki i siostry profeski, które miały bogatych rodziców lub krewnych. Częste paczki, nadsyłane od nich pod adresem klasztoru, przekazywały pieniądze, za każdym razem pogłębiały uczucie szacunku i zjednywały, miłość przełożonych. Nie znaczy to wcale, że nie przyjmowano do tegoż zakonu również dziewczyn z ubogich rodzin. Takie przypadki się zdarzały dość często, ponieważ potrzebna była w klasztorze siła robocza. Nieustannie jednak przypominało się takim rodzicom o powinności składania darowizny, opłat. Na przykład mój ojciec przez kilka lat płacił kilkaset złotych miesięcznie za mój pobyt w klasztorze. Poza tym ponosił wszelkie wydatki na stroje, lekarstwa – w przypadku mojej choroby przywoził do kuchni klasztornej różne wiktuały. Potem dopiero się zbuntował. Twierdził, że moja praca jest aż nadto wystarczającą opłatą za ten kęs strawy, jaki otrzymuję w klasztorze.

Rzecz zrozumiała, że odtąd moja sytuacja w Orliku uległa znacznemu pogorszeniu. Traktowano mnie jak podrzutka, którego trzeba bezpłatnie żywić i ubierać.

ROZDZIAŁ IV

Czyli wspomnienia o pokorze, terrorze psychicznym oraz o tym, czy rozglądałam się ciekawie

Już w pierwszym miesiącu pobytu w Orliku przekroczyłam obowiązujące przepisy: rozmawiałam na korytarzu, a potem odezwałam się do swej koleżanki podczas pracy. Na korytarzu i schodach, można było się odzywać jedynie w sprawach nagłych, niecierpiących zwłoki. Siostry wprawdzie mogły rozmawiać między sobą, z domownikami, gośćmi, pracownikami, ale tylko za zezwoleniem przełożonej i tylko poza czasem przeznaczonym na ćwiczenia duchowe. Pytania i odpowiedzi należało precyzować krótko, wypowiadać je stłumionym, przyciszonym głosem. Moje odezwanie: – popatrz, jaka przepiękna dziś pogoda! – było więc przestępstwem, ponieważ ów zachwyt nie należał do rzeczy ważnych.

Przewinienia należało wyznać publicznie, błagając matkę przełożoną o przebaczenie. Ceremoniał publicznej spowiedzi i skruchy odbywał się w refektarzu – po modlitwach stołowych, przed podaniem zupy. Podchodziło się do przełożonej, klękało na kolana i wyznawało się winę. Po uzyskaniu przebaczenia trzeba było pocałować przed jej stopami podłogę.

Gdy wyznałam jej po raz pierwszy swój grzech, siostra Rafaela, życzliwie pogłaskała mnie po głowie i powiedziała: służebnice Najwyższego, powinny zwalczać u siebie skłonności do wielomówstwa i ciekawości. Muszą opanować swe zmysły, są to bowiem drzwi duszy i serca.

Rozmowy z przełożonymi i siostrami starszymi rangą, wykonywaną funkcją lub wiekiem, mogły się odbywać pod warunkiem przyjęcia skromnej postawy. Należało uklęknąć na dwa kolana, złożyć ręce i wyrecytować obowiązującą formułkę. Na przykład: – kochana matko, proszę z miłości do Boga, zezwolić mi odejść do kuchni celem mycia naczyń.

Uzyskawszy pozwolenie należało podziękować osobną formułką.

Najbardziej uroczystym rozkazem, który należało bezwzględnie wykonać pod groźbą ciężkiego grzechu a nawet wydalenia z klasztoru, był zwrot zaczynający się od słów: Na mocy świętego posłuszeństwa...

Rozkaz „na mocy świętego posłuszeństwa” był stosowany niezwykle rzadko. Uprawnienia do wydawania tak uroczystych rozkazów miała w zasadzie tylko przełożona generalna w Rzymie i siostra prowincjonalna w Orliku. Tego rodzaju rozkaz wydawało się dopiero po rozważeniu wszelkich stron ujemnych i dodatnich, po wielogodzinnych nieraz, dyskusjach w radzie generalnej i prowincjonalnej. Rozkaz ten był wydawany na piśmie, w obecności dwóch świadków.

Wielkim zgorzzeniem było, gdy któraś nowicjuszka otrzymując polecenie, naganę, usiłowała się usprawiedliwić lub uniewinnić. Uchybiało to nie tylko zwyczajom ale przepisom zakonnym.

W książeczce oprawnej w czarny papier, a zatytułowanej: „Uwagi pożyteczne dla młodej zakonnicy” często czytałam słowa pokrzepienia i nauki:

„Miej w sercu uczucie głębokiej czci i szacunku dla przełożonych i mów o nich z uszanowaniem. Jakżebyś ośmieliła się krytykować słowa, czyny i postanowienia Pana Jezusa lub tylko nie cenić ich. Winnaś także przyjmować zawsze i tłumaczyć na dobre wszystkie czyny i postanowienia tych przełożonych, tyżące się ciebie i innych. Strzeż się i nigdy nie szemraj, nie słuchaj szemrzących i krytykujących. Uważaj ten rodzaj ludzi za podejrzany. Nie ma bowiem wątpliwości, że szemrzący przeciwko przełożonym nie są dobrymi zakonnikami, a jeśli to czynią, to stają się zarazą Zgromadzenia. Pilnuj się więc, byś i ty się nie zaraziła”.

Każda z nas miała obowiązek prowadzić na piśmie rachunek partykularny. W niewielkim notesiku wpisywało się do odpowiednich rubryk swoje przewinienia, popełnione myślą, słowem lub uczynkiem. W tej czy innej rubryce z wymienionym grzechem stawiało się kreskę lub wiele kresek w zależności od ilości popełnionych przewinień. Przeglądanie notatek i wyciąganie wniosków należało do zadań przełożonej prowincjonalnej. Czyniła to publicznie w czasie spożywania wspólnych posiłków, tuż po tzw. modlitwach stołowych. Raz na tydzień następowało uroczyste podsumowanie postępów zakonnicy w różnych ćwiczeniach duchowych.

Najpierw więc klęczało się przed przełożoną i chórem odmawiało wstępne słowa:

- Kochana matko Rafaelo! Wyznaję moją winę ze wszystkich błędów i przekroczeń konstytucji, których się od ostatniej kapituły dopuściłam i proszę z miłości do Boga o pokutę za te błędy, których nie rozpoznaję.

Potem podchodziło się pojedynczo do przełożonej, padało na klęczki, podawało spis błędów i przewinień, składało ręce i mówiło:

- Kochana matko! Z miłości do Boga wyznaję następujące przewinienia...

Po recytacji owych grzechów, obowiązywało stwierdzenie:

- Kochana matko! Prócz tego wyznaję moją winę, że wszystkie moje obowiązki wykonywałam niedoskonale.

Jakież to były przewinienia? Jak odróżnić dobro od zła? Do tego celu służyła specjalna książeczka „Kapituła wyznawania win”. Coś w rodzaju wykazu grzechów. Na przykład:

- Czy odmawiałam Oficjum w przeciwną stronę? (Odmawianie tych modlitw wykonywało się będąc podzielonymi na dwie grupy. Każda zakonnica musiała wiedzieć do której grupy należy i nie wspierać swym głosem grupy przeciwnej, konkurencyjnej).
- Czy rozglądałam się ciekawie?
- Czy coś rozlałam a nie wytarłam?
- Czy bez pozwolenia coś pożyczałam?
- Czy na schodach wlokłam za sobą habit lub szkaplerz?
- Czy postępowałam wobec woli własnej?
- Czy zostawiłam drzwi otwarte?
- Czy zatrasnęłam drzwi lub nie zamykałam według przepisu?
- Czy krytykowałam? Robiłam niedozwolone uwagi?
- Czy byłam ciekawa?

- Czy biegłam?
- Czy zakładałam nogi? Dawałam zwisać rękom?
- Czy byłam wrażliwa?
- Czy szłam na pończochach?
- Czy nie pokazałam skorupy, gdy coś stłukłam lub uszkodziłam?

Oto niektóre tylko pytania z tej czarnej książeczki, które trzeba było pisemnie wyznać. W przypadku odpowiedzi pozytywnej potrzebny był natychmiastowy akt skruchy tudzież błaganie o przebaczenie.

Miałam już za sobą okres juwenatu – szkoły mariańskiej, zbliżał się koniec drugiego stopnia wtajemniczenia – postulatu. Nastąpił dziesięciodniowy okres przygotowań do ceremonii obłóczyn, i wstąpienia do nowicjatu. Długie, wyczerpujące modlitwy, rekolekcje przygotowawcze, spowiedź generalna z całego życia, ponawianie zabiegów i prośb o dopuszczenie do obłóczyn. Codziennie pocziwy ojciec duchowny Bonawentura straszył nas swymi prelekcjami:

- Stoicie przed podjęciem wielkiej decyzji. Gdy przywdziejecie habit, odwrotu nie będzie! Przyjemniej byłoby cię widzieć w trumnie niż w świeckiej sukni! Bóg nie tylko litościwy i miłosierny, ale i groźny w swym niepojętym majestacie!

Drżałyśmy ze strachu przed szatanem i potęgą Boga, chociaż tak bardzo w duszy pragnęłyśmy zostać na zawsze oblubienicami Kościoła.

ROZDZIAŁ V

Trochę słów o zabijaniu uczuć oraz o tym, dlaczego siostrze Gorecie ręce się trzęsą

Minał dzień radości. Ceremoniał obłóczyn, upragniony habit i świadomość, że jednak ten rekrucki okres – postulat – mam poza sobą, nie na długo dodał mi otuchy. Po chwilach modlitewnego odurzenia, coraz częściej, do serca i umysłu skradało się zwątpienie. Broniałam się przed tym, odpędzałam myśli, traktując je jako podszepty szatana. Niewiele mi to pomogło. Patrzyłam na zakonne życie, sprawdzałam je na sobie, dochodziłam do wniosku, że dużo niedoskonałości i zła kryje się dymną zasłoną świętości i powagi.

Kto upoważnił, kiedy, gdzie, lekceważyć życie drugiego człowieka? Jeśli Bóg w swej dobroci stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje i uznał ten twór za doskonały, to jakież mamy prawo tak lekceważyć jego dzieło?

- Nie ma co żałować tego krótkiego, marnego życia na ziemi! – pohukiwała często, monotonnie jak kukułka, przełożona Rafaela. - Z ochotą i radością wyniszczajcie się dla Boga, a otrzymacie nagrodę w niebiesiech.

Gdy poczułam się ciężko chora i zwierzyłam się z tym przełożonej, dostałam odpowiedź: - No cóż, no to umrzesz. O te trochę żywota ci tak bardzo chodzi? Cieszyć się powinnaś, że Bóg zsyła ci łaskę, chce zabrać do siebie.

Przerażały mnie te słowa. Wydawały mi się tak bardzo okrutne i złe, że serce mi się ścisnęło na samo ich wspomnienie.

Zimą kłęczałam w piwnicy na zimnym betonie i czyściłam codziennie 80 lamp naftowych oraz wyrabiałam ze słomy maty inspektowe, wycieraczki i inne, sprzęty użytkowe. Niektóre siostry podkładały sobie ukradkiem pod kolana kawałki desek, aby nie podupaść na zdrowiu. Miałam wówczas zastrzeżenia do tego rodzaju oszustw. Uważałam, że wszelkie polecenia przełożonych należy skrupulatnie wykonywać. Puchły mi kolana, w nocy bóle reumatyczne nie pozwalały nieraz zmrużyć oka. Z nosa nieustannie ciekła mi ropa. Dotkliwie klucie w okolicy czoła zmuszały mnie do rezygnacji z postawy męczennicy. Poprosiłam o lekarza. Przez kilka dni z pogardliwym uśmiechem odmawiano mi spełnienia prośby. Napisałam do matki list. Moja najdroższa mateczka przysłała pieniądze na lekarza i polecenie, żeby natychmiast opuścić klasztor, jeśli nie otrzymam zezwolenia na udanie się do przychodni lekarskiej lub do prywatnego lekarza.

Prześwietlenie rentgenowskie i informacja specjalisty: gdyby siostra spóźniła się z leczeniem chociażby o dzień, nie wiadomo, czym by się to skończyło. A raczej wiadomo!

Częste były w klasztorze przypadki gruźlicy. Siostra Brygida pluła krwią i męczył ją nieustannie kaszel. Dopiero gdy padła na ziemię w krwotoku, skierowano ją do sanatorium. Prątkująca

gruźlica w daleko posuniętym stadium. Podobnie było z siostrami: Beatą, Michaelą, Franciszką i innymi. Pamiętam, ile to drwin się posypało na siostrę Jadwigę, gdy skarżyła się na ostry ból w brzuchu. Karetka pogotowia wzięła ją wprost z pola na stół operacyjny: atak ślepej kiszki.

Częstymi wypadkami były choroby kobiece. Siostry, jak na przykład Faustyna, Małgorzata, cierpiały i skarżyły się ze swoich dolegliwości przełożonej. Zamiast pocieszenia, padały brutalne i cyniczne słowa.

Nienormalne warunki życia klasztornego sprzyjały rozwojowi chorób umysłowych, nerwic, hysterii. Pamiętam ten wieczór, kiedy po raz pierwszy zmroził mnie od stóp do głów ten straszny chichot w korytarzu siostry Agaty, bardziej przypominający jęk ranionego zwierzęcia niż śmiejącego się człowieka. Siedem lat harowała w klasztorze. Siedem lat nie dojadła, umartwiała się, spędzała wszystkie wolne chwile na modlitwach, otepiających rozmyślaniach. Przyjechała po nią karetka z sanitariuszami. Uciekła do kaplicy. Śmiała się histerycznie, krzyczała w obłędym szale, rechotała klaszcząc w ręce i zręcznie przeskakując z ławki na ławkę.

Nigdy nie zatrać się w mej pamięci te chwile pełne grozy, gdym zobaczyła siostrę Franciszkę tańczącą w refektarzu, śpiewającą sprośne piosenki, skaczącą po stołach ze zręcznością kozy. Pot występował mi na ciele, ilekroć pośród nocnej ciszy słyszałam żalosne zawodzenie siostry Janiny, zawodzenie pełne rozpacz i melancholii. W rzadkich tylko przypadkach odwoływano się do pomocy lekarzy. Bóg dał rozum, Bóg odebrał – jego święta wola! – powiadała przełożona. Nie nam się tej woli sprzeciwiać.

Ataki hysterii zdarzały się często. Były że tak powiem na porządku dziennym. Do najbardziej niepoprawnych należała siostra Michaela. Będąc zdenerwowaną, stawała się nieraz bardzo niebezpieczną dla otoczenia, agresywną. Kiedyś rzuciła się z widłami na siostrę Wacławę i tylko dzięki ucieczce napadnięta uchroniła się przed śmiercią lub kalectwem. W siostrę Margarytę rzuciła krzesłem raniąc jej głowę. Siostrę Modestę traktowała jak popychadło i często bez powodów biła ją po głowie.

W końcu Michaela wysłana została do jednego z państwowych zakładów dla nieuleczalnie chorych, w charakterze... pielęgniarki. Z chorymi prowadziła nieustanne kłótnie. Często biła ich po twarzy. Pewnej staruszce nadwreżyła rękę. Chorzy – umysłowo niedorozwinięci, kalecy, nie mogli się nikomu poskarżyć, więc dość długo ją w tym zakładzie tolerowano. Gdy niektórzy zwracali uwagę siostrze przełożonej na nienormalne zachowanie się Michaeli, odpowiedź była zawsze ta sama: trzeba mieć wyrozumienie dla ludzkich słabostek. Michaela jest dobrą zakonnica, tylko czasem ma taki nieznośny charakter.

Wszystkim jednak było wiadomo, dlaczego taką dużą tolerancją obdarzano Michaelę. Pochodziła z bogatego domu i klasztor otrzymywał stamtąd różne dotacje i paczki.

Te osobiste tragedie miały swe główne źródło, jak myślę, w nienormalności klasztornego życia. Wszyscy szczerze żalowaliśmy siostry Bronisławy, którą ze względu na coraz częstsze histeryczne stany, trzeba było posłać na leczenie. Do podjęcia tej decyzji przyczyniały się niemal zawsze kategoryczne żądania rodziców lub samej chorej. Bo przełożone klasztoru, jak już powiedziałam, nie bardzo kwapiły się do zabiegania o lekarską pomoc. Chyba, że sytuacje stawały się kompromitujące dla klasztoru.

Takim klasycznym przykładem może być siostra Lewiata, która rozbierała się i nago wybiegała na ulicę, pędząc za pojazdami lub zaczepiając przechodniów. Na drugi dzień zawsze płakała i twierdziła, że nic z tego nie pamięta. Cóż z tego, kiedy cała okolica wyrażała dezaprobatę dla niecodziennych praktyk siostry Lewiaty.

Atmosfera ciągłej bojaźni przed diabłem i gniewem Boga pogłębiała dramatyzm kobiet dobrowolnie skazujących się na klasztorne więzienie. Niektórym śniły się niemal co noc szatani w męskich postaciach, inne bywały nawiedzane przez dobre duchy, jeszcze inne potajemnie kochały się w księżach, którzy nasz klasztor czasem odwiedzali. Różna bowiem bywała odporność psychiczna dziewczyn w habitach, szukających w klasztorze spokoju, ciszy i modlitwy. Wiele z nich, po kilku czy kilkunastu latach przebywania w tych smutnych murach przyznawało się do swej pomyłki, osobistej klęski: dobrowolnie rezygnowało ze swych zakonnych ambicji i wracało do normalnego świata ludzi świeckich. Ileż to szemrania wywołała kiedyś siostra Asumota, która oświadczyła: zrzucam habit i wychodzę za mąż! I rzeczywiście, dotrzymała słowa. Ma dziś męża, dwoje dzieci, mieszka obecnie w Gdańsku i dobrze się jej powodzi. Za mojego pobytu w Orliku podobnie zrobiło kilkanaście innych sióstr.

Zdarzały się też odmienne sytuacje. Niektóre zakonnice zmuszane do opuszczenia klasztoru, broniły się rozpaczliwie. Dochodziło do krwawych nieraz scen. Gdy siostrę Scholastykę wyrzucono, bo miała komunistów w rodzinie, stawiała opór. Wtedy siostra Teresa, od kilkunastu lat przebywająca stale w łóżku z powodu nieuleczalnej choroby, strasznie się zdenerwowała i zaczęła histerycznie krzyżeć: zwalcie to babsko na ziemię i zedrzyjcie z niej te święte szaty!

Mimo wyraźnego rozkazu chorej, którą po trosze uważano za duchową przywódczynię klasztoru, jedynie siostra Goreta przystąpiła do rękoczynów. Udała się do celi siostry Scholastyki i po długiej, wyczerpującej walce pogryzła ją, porwała różaniec, zbiła okulary.

Scholastykę wyrzucono za klasztorną bramę, ale siostrze Gorecie odtąd dłonie się nerwowo trzęsą, ilekroć coś podaje, niesie lub modli się w kaplicy z rozkrzyżowanymi ramionami.

Podobnie z wielkim krzykiem wyrzucono siostrę Modestę. Pochodziła ona z bardzo biednej rodziny i była traktowana jak piąte koło u wozu. Już dzisiaj nie pamiętam za co ją wyrzucono. Słyszę tylko jej płacz i błagania, prośby, by jej po kilkunastu latach pracy w klasztorze nie wyrzucać na bruk, bo nie ma gdzie iść. Tu straciła zdrowie na ciągłej harówce i tu chce umrzeć. Nie pomogły prośby. Przełożona własnoręcznie, zdarła z niej habit i wyrzuciła za bramę. Modesta z rozpaczą, jak potem do nas doszło, usiłowała popełnić samobójstwo.

ROZDZIAŁ VI

O losie siostry Celesty, potępieńcach, omamach, straszidłach w Zamartem i klasztornej moralności

Żał mi było siostry Celesty. W młodości, posługiwała u pewnego lekarza. Uciekła od niego, bo – jak twierdziła – prowadził życie niemoralne. Ona zaś – gorliwa katoliczka – nie mogła tego ścierpieć. Dostała się do klasztoru. Sierota. Matka jej umarła na jakąś chorobę kobiecą, ojciec zmarł na raka w ciężkich boleściach. Nie miała warunków na naukę. Mimo pełnoletności, nie zgłębiła dotąd tajemnic alfabetu. Od kilku lat pracowała w klasztornym gospodarstwie. Pracowała? To słabo powiedziane! Ciężko harowała od świtu do nocy.

Do jej obowiązków należał wypiek chleba dla wszystkich oraz przygotowanie paszy dla bydła, codzienne udoje ośmiu krów, pomoc przy kuchni. Chodziła zawsze chora, brudna od czarnej roboty, zakatarzona, wiecznie głodna. Dawali jej gorsze jedzenie. Ukradkiem podawałam jej swoją porcję chleba. Pogardzano tą siostrą, często słyszało się z ust nabożnych zakonnic – przełożonych: - Znowu ta dziwka coś tam w kącie dłubie, a głodne krowy ryczą...

W przypływie rozpaczliwej zwierzała mi się, że chętnie by uciekła na drugi koniec świata, byle jak najdalej od tego klasztoru, ale nie ma gdzie się udać, nie ma znajomych ani krewnych. Jest samotna. Poza tym boi się piekła i wiecznego potępienia za złamanie ślubów.

Myślę, że ten właśnie argument, ten strach przed piekłem, trzymał niejedną dziewczynę w klasztorze i był przyczyną jej tragedii.

W Orliku od pierwszych dni pobytu wpaja się młodym przekonanie, że złamanie ślubów klasztornych, zwłaszcza ślubów wieczystych, powoduje nieszczęście już tu na ziemi, niezależnie od nieuchronnego potępienia po śmierci.

Siostry bardziej wtajemniczone, szeptały między sobą o tym, że w Zamartem straszy. Jest tam stary klasztor przeznaczony dla pokutujących zakonników, księży. Tu przebywają na modlitwach i pokutach osoby kompromitujące Kościół.

W Zamartem wielu pokutników skończyło życie. W lochach klasztoru i kaplicy, są trumny z umrzykami – z wieków minionych i z czasów współczesnych. Siostry zakonne opowiadały nam nowiejuszkom, że nocą stamtąd słyhać rozpaczliwe jęki. O północy żywi pokutnicy odprawiają modlitwy, msze zaś usługują im ci, którzy kiedyś zmarli i dotąd oczekują wybawienia. Siostra Józefa często nam opowiadała jak to siostra Jadwiga, ta starsza, co przed laty zmarła, błądzi po tych piwnicach pełnych starych trumien. Błądzi, głośno odmawia paciorki i wciąż tylko płacze...

Dla ludzi świeckich te opowieści wydają się naiwnie śmieszne. W klasztorze w takie legendy się wierzy. Nikt nie podejrzewa, że mogłoby być inaczej. Zresztą wiele siostr zakonnych rzeczywiście miewa różne omamy i widzenia. Siostry w zasadzie nie kłamią. Opowiadają to, co widziały w półśnie, histerycznej ekstazie.

W klasztorze w Orliku, nie wolno czytać książek. Wyjątek stanowi biblia i żywoty świętych. Nie wolno czytywać prasy nawet katolickiej. Nie wolno słuchać radia, zwłaszcza programów krajowych. Wyklęta jest telewizja, kino, teatr. Nie wolno ze światem zewnętrznym utrzymywać bliższych kontaktów: zabronione jest z ludźmi rozmawiać. W sytuacjach przymusowych należy odpowiadać na pytania krótko. Nie wolno w pojedynkę wychodzić na miasto, odbywać podróży. Nie wolno się uczyć – bez specjalnego zezwolenia. Tylko nieliczne siostry są wyróżniane tym przywilejem. Są to głównie siostry majątne, których obecność w klasztorze jest mile widziana ze względu na dochody i inne materialne korzyści. Dla nas robotnic, było to nieosiągalne.

Pamiętam, ileż to radości cichej i ukrytej, było wśród nas młodych zakonnic, gdy dowiedzieliśmy się, że uchwałą władz wojewódzkich większość klasztornej ziemi przechodzi na własność państwa. Po prostu w spóźnionym terminie zrealizowano ustawę o reformie rolnej, przewidującą wywłaszczenie majątków powyżej sto hektarów. Nie mogłam się wtedy powstrzymać od radosnego okrzyku: nareszcie my, bezrobotne robotnice będziemy miały czas na modlitwy a może i naukę!

Moim cichym marzeniem było ukończyć szkołę średnią, zdobyć maturę a potem zdać kurs pielęgniarski i poświęcić się opiece, leczeniu chorych. Odpowiadała mi praca w zakładach dla nieuleczalnie chorych, gdzie trudy i przykrości z wykonywanego obowiązku są największe. Tu, na tym najtrudniejszym odcinku widziałam swe powołanie, swoją rolę mniszki.

Mimo starań, nie udało mi się posunąć ani na krok w realizacji tych marzeń. Uchodziłam za osobę pracowitą i z tego powodu trzymano mnie w przyklasztornym rolnictwie. Poza tym, mój ojciec został wybranym w swojej wsi sołtysem i jako „współpracownik komunistów” – nie mógł już się gorzej przyczynić do ukształtowania mojej opinii jako podejrzanego. Nawet wtedy, gdy starałam się jak najbardziej zarobić na zaufanie, zawsze słyszałam szept: jeśli się ma takiego ojca...

Dziś, gdy to wszystko opowiadam, jestem spokojna, przyjmująca rolę biernego obserwatora, który relacjonuje suche fakty. Ale przecież wtedy nie taka byłam! Jak wielka rozpacz targała moje serce wtedy, gdy uświadamiałam sobie, że w miarę upływu lat – zamiast pokory i bezmyślności w posłuszeństwie – staję się coraz bardziej krytyczna wobec przełożonych, czasem – buntownicza!

To odkrycie mojej natury przerażało mnie, popadłam w panikę. Bo przecież moim świętym obowiązkiem było w pokorze spędzać życie, myślenie pozostawiając innym. Ten stan rozterki, tę słabość ducha – jak mi się wydawało – chciałam za wszelką cenę zwalczyć. Modliłam się, nieraz przez kilkanaście godzin w czasie pracy i odpoczynku, nie chcąc dopuścić do głowy niepokornych myśli.

Kiedyś, gdy zwierzałam się ze swoich utrapień spowiednikowi, zażartował, chociaż nie widziałam na jego twarzy uśmiechu:

- Zobaczysz, ty jeszcze kiedyś komunistą zostaniesz! Ty masz ich ten krnąbrny charakter.

Coraz częściej zadawałam pytania, siląc się na spokój:

- Dlaczego, droga matko Rafaelo, nie zezwalacie mi ukończyć szkół i zostać pielęgniarką?

Odpowiedź była zawsze ta sama:

- Jesteś młoda. W tym obcym świecie, czekają cię pokusy. Gdy będziesz miała czterdzieści lat, może ci pozwolimy spełnić swe pragnienia.

- A czy siostry z bogatych rodzin nie mają podobnych pokus? Dlaczego im się zezwala...

Wysłuchiwałam cierpkich słów pouczenia, że posłuszeństwo należy do najwyższych, najbardziej cenionych cnót mniszki – franciszkanki.

Swego czasu wezwała mnie do siebie asystentka przełożonej – siostra Kosma i z gniewnym wyrzutem powiedziała:

- Czemu to siostra poinformowała obcych, że przełożona Rafaela jest u siebie w pokoju?

- Przecież pytali! Odpowiedź dałam zgodnie z prawdą. Czy miałam kłamać?

- Niech siostra nie udaje głupiej! – wykrzyknęła Kosma. To byli przecież komuniści. Te antychrysty przyszli obłożyć nas podatkiem. Obowiązkiem siostry było poinformować ich zgodnie z interesem klasztoru.

W tym miejscu nastąpił długi monolog, z którego jasno wynikało: gdy się wrogów Kościoła wprowadza w błąd, to nie jest żadne kłamstwo, lecz zaszczyt i łaska u Boga.

Od czasu do czasu pozwalano nam pisać listy, ale pod warunkiem, że ich treść zatwierdzi przełożona. Zdarzało się, że musiałam kilka razy poprawiać, przerabiać, pomijać pewne fakty

milczeniem lub przekręcać ich wymowę zanim uzyskałam zgodę na wysyłkę. Zbyt głębokie uczucia przywiązania do świeckiej rodziny, krewnych, nie były mile widziane.

Byłam wtedy jeszcze w nowicjacie, gdy zmarł mi ojciec. Złapał go atak serca i nie udało się go uratować. Było to dla mnie bolesne przeżycie. I wtedy, jak pamiętam, zrodził się we mnie pierwszy tak silny odruch buntu, że z trudem potrafiłam go stłumić. Wysłano mnie w ten dzień, raniutko, kopać kartofle. W godzinę później przyszedł do mnie telegram o śmierci ojca i prośba matki, aby się natychmiast udać na pogrzeb. Moje najlepsze przyjaciółki chciały mnie zawiadomić o nadejściu telegramu i życzeniach matki. Siostra przełożona zabroniła:

Nigdzie nie pojedzie! Niech nadal kopie w polu. Jak się dowie o nieszczęściu, to się pobeczy i nic z niej nie będzie w polu. A kopanie kartofli pilne. Jej ojciec współpracował z komunizmem, nie wypada, aby siostra zakonna była na takim pogrzebie.

Całą noc płakałam...

ROZDZIAŁ VII

Wspomnienia o strajku w klasztorze, o upadku Kosmy i kilku dniach rozpacz

Co sześć lat, w domu nowicjatu prowincji, zwołuje się kapitułę prowincjonalną, na której odbywają się wybory przełożonej, jej asystentek, a także delegatek prowincji na kapitułę generalną – w Rzymie. Prawo czynne i bierne mają oczywiście siostry, które złożyły śluby wieczyste i odbyły przynajmniej pięcioletni staż. Wybory, powinny odbywać się tajnie.

Na pierwszym przedwyborczym posiedzeniu kapituły, przewodnicząca, mianowana przez przełożoną generalną, zarządza wybór sekretarki kapituły. Odtąd będzie ona każde słowo na posiedzeniach skrupulatnie notować.

W roku 1960 byłam już po ślubach wieczystych, jednak nadal mnie traktowano niczym popychadło do czarnej roboty. Podobnie jak inne Polki, znajdowałam się w przykrew sytuacji: uchodziliśmy za siostry drugiej kategorii. Pierwsze skrzypce grały oczywiście Niemki. Aby przełamać ten mur podejrzeń, nieufności i dyskryminacji, pragnęliśmy, aby w skład władzy zwierzchniej klasztoru, weszła drogą wyborów któraś z Polek. Gorąco modliłyśmy się, zwłaszcza o to, aby na kapitule nie wybrano siostry Kosmy. Ona bowiem była na nas Polki najbardziej zajadła: uważała nas za coś niższego, ludzi gorszej rasy. Odnosiła się do nas ordynarnie, a my – z obowiązku świętego posłuszeństwa – musiałyśmy to wszystko cierpliwie znosić.

Nasze gorące modlitwy nie zostały wysłuchane. Dzwonek wezwał nas do refektarza a gdy ustawiłyśmy się tam długim szpalerem, podano nam wyniki wyborów. A więc znów bez zmian! Od kilkunastu lat!

Wróciłyśmy do ogrodu kopać ziemię. Padał wtedy deszcz, byłyśmy mokre i zdenerwowane. Gdy do tego dołączyło się zmęczenie, nasza odporność psychiczna zmalala do minimum. Porzuciłyśmy łopaty i motyki, ogłosiliśmy strajk.

Kilka młodych zakonnice postanowiło natychmiast wyjechać z klasztoru. Zamówiłyśmy w sąsiedztwie konie i wóz na odpowiednią godzinę. Zaczęłyśmy się pakować do drogi.

Wybrano mnie delegatką, która miała przedstawić siostronom Niemkom nasze ultimatum: albo zdegradują tę osę – Kosmę, albo – wyjeżdżamy!

Wyglądałam podobno strasznie. Strój zakonny nasiąknięty deszczem przylepiał mi się do ciała. Twarz umorusana ziemią, włosy spadające na czoło. Wpadłam do pomieszczeń, gdzie właśnie obradowała rada prowincjonalna. Same Niemki! Przestraszyły się.

Nie pamiętam dokładnie, co w tym nerwowym podnieceniu mówiłam. Przedstawiłam podniesionym głosem swoją i innych krzywdę. Wzywałam ich, aby wreszcie zaczęły żyć w zgodzie z przykazaniami naszego ojca patrona – świętego Franciszka z Asyżu. Mówiłam o wołającym o pomstę do nieba wyzysku i nieludzkim traktowaniu. Zgłosiłam ultimatum w sprawie Kosmy. - Jeśli tak dalej będziecie nas traktować, napiszemy skargę do Rzymu, a jak to nie pomoże, napiszemy do komunistycznej gazety! Zrobią z wami porządek! - wołałam zanosząc się płaczem.

Gdy się trochę uspokoiłam, obiecano przemyśleć moje zarzuty. Po kilku godzinach powiadomiono nas wszystkie, że zamiast siostry Kosmy, drogą dodatkowych wyborów matką domową wybrano siostrę Antonię. Mnie obiecano spełnić moje pragnienie: zostanę wysłana do jednego z

zakładów dla nieuleczalnie chorych dziewcząt w województwie koszalińskim. - Będziesz wreszcie mogła pracować jako pielęgniarka. Tak się też stało.

Coś jednak, przełamało się we mnie. Nie potrafiłam już nigdy wykrzesać z siebie tej iskry, która czasem nazywana jest wolą bożą, czasem – powołaniem, pragnieniem świeżości. Coś się we mnie waliło, jakiś gmach misternie budowany chwiał się w swoich fundamentach.

Przez trzy lata pracowałam na najcięższym oddziale tego zakładu. Na łózkach istoty, które trudno nieraz nazwać dziewczętami; karlice, potworki, niedorozwinięte fizycznie i umysłowo, sparaliżowane. Ubieram je, myję, zmieniam ceratki, pudruję, karmię. Codziennie to samo.

Jeśli jest Bóg, który wszystko stworzył, jeśli powołał do życia człowieka na obraz i podobieństwo swoje, to czemu ten obraz jest tak mało doskonały? Jakże nieludzki, bezlitosny był ten wielki, wszechpotężny stwórca, który przewidział choroby, śmierć, nieszczęścia, a po śmierci nie tylko niebo, ale też męki piekielne. Po co tyle nieszczęść i gróźb dla tych, którzy się przecież na ten świat nie prosili? Ileż pychy musiał mieć ten stwórca, jeśli to wszystko uczynił na większą swoją cześć i chwałę!

Jedynym wytchnieniem dla mnie w tych niełatwych latach była szkoła. Pozwolono mi wreszcie po wielu targach uczęszczać do wieczorowej szkoły dla pracujących. Chciałam koniecznie zrobić maturę.

Siedziałam w jednej ławce z Genią, bibliotekarką małego koszalińskiego miasteczka. Bardzo lubiłam tę Genię. Wyszła za męża, została matką, ale nie wzięła ślubu kościelnego. Druga koleżanka, która mi wiele pomogła zrozumieć – to Wercia, salowa z tego samego zakładu, gdzie pracowałam. Kiedyś w gronie tych i innych koleżanek, kolegów ze szkolnej ławy, zrobiłam sobie wspólne zdjęcie. Jakimś sposobem owa fotografia dotarła do mojej przełożonej klasztoru. Dotarło też kilka plotek i insynuacji. Prawdopodobnie było to dzieło miejscowego proboszcza i jego złośliwych dewotek.

Przełożona przyjęła mnie dość sztywno i ostrzegła:

- Jeśli się nie poprawisz, nadal będziesz sympatyzować z partyjniakami, to zabronimy ci nauki w szkole.

Mnie już w tym czasie nie mogły przerazić groźby i zaklęcia. Coraz jaśniej widziałam swój cel.

Po pewnym czasie wezwano mnie na rekolekcje do Orlika. Rekolekcje trwają cały tydzień. Przez cały ten okres obowiązuje silentium i rozpamiętywanie grzechów. Byłam trochę zaniedbana w lekturze szkolnej, więc postanowiłam ze sobą wziąć kilka książek do czytania. Siostra Myra, która została następczynią w owym czasie przełożonej Rafaeli, złapała mnie na tej lekturze podczas rekolekcji. Była to „Moralność pani Dulskiej” – Gabrieli Zapolskiej. Przerzuciła kilka kartek, po czym orzekła:

No, tak. Sprawa dla mnie jasna. Straciłaś w tej komunistycznej szkole zakonnego ducha. Zamiast brewiarza – Zapolska! Ależ to skandal!

Po zakończeniu rekolekcji nie puszczono mnie już poza obręb klasztoru. Napisałam protest do biskupa Nowickiego, grożąc porzuceniem klasztoru. Niewiele pomogło. W drodze łaski dano mi pracę w archiwum. Ale mnie wciąż ciągnęło do szkoły.

Kiedyś padłam na kolana przed przełożoną i powiedziałam:

- Droga matko! Czuję się jak ten Janko Muzykant ze szkolnej lektury! Chcę się uczyć, to jest moim pragnieniem, a wy mi nie zezwalacie!

Przełożona Myra była szczerze zmartwiona:

- Cóż to za świeckie porównania! A poza tym, moja droga, zbliża się koniec świata, wojna! Bomby jądrowe zniszczą ten świat w mgnieniu oka. Czas przygotować się na śmierć, a tobie szkoła w głowie!

Stanął mi wtedy w pamięci ten obraz z lat młodości: mała, głupia dziewczyna straszona bombą atomową, przejęta rychłą śmiercią, decyduje się ostatecznie wstąpić do zakonu. Dziś – ten sam argument, ten sam strach próbuje mnie miażdżyć, aby mnie zatrzymać w klasztorze.

Pewnego kwietniowego poranka powiedziałam sobie, trzyście lat zmarnowałam w klasztornych murach. Jeszcze nie jest za późno zacząć nowe życie, jeszcze jest czas!

Żegnaj na zawsze rezerwacie średniowiecza!

Włóczyłam się przez kilka dni po mieście, głodna, nie wyspana. Bałam się też pokazać rodzinie. Nie miałam odwagi iść do partii, do władz, aby prosić o pomoc. Nerwowa i roztrzęsiona,

spotkałam wieczorem milicjanta. Komunista! – błysnęło mi w głowie. - Cóż to dla takiego zabić człowieka. W klasztorze zawsze mnie uczono, wbijano w głowę i serce, że komuniści zdolni są do wszystkiego. Niech mnie zastrzeli, niech się wreszcie raz skończy ta tułaczka, ta bieda, ta rozpacz i osamotnienie...

- ... niech mnie pan zastrzeli! - zawołałam w przyпадку histerii.

Mieszkam w Koszalinie. Z mojego pokoiku – widok na miasto.

Otrzymałam pracę. Uczęszczam do szkoły. W tym roku będę zdawała maturę. Pomogli mi w tym komuniści, niewierzący - których niegdyś tak bardzo nienawidziłam. Okazali się ludźmi dobrego serca, wyrozumiali.

Odważyłam się napisać do matki. Wszystko szczerze opisałam. Otrzymałam odpowiedź:

- Drogie dziecko, dobrze zrobiłaś, lecz czemu tak późno?...

ROMAN SĄDECKI

GAZETA POMORSKA – 27 luty ~ 12 marzec – 1965 rok.